

Pryłowski, Stanisław

Pod Monte Cassino

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 16, 133-135

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Pod Monte Cassino^{*)}



Fot. 26. Stanisław Pryłowski

1 września 1939 r. zostałem zmobilizowany do Baonu Mostowo-Budowlanego Marynarki Wojennej w Kazuniu. Brałem udział w walkach o Brzmin. W wyniku ewakuacji znalazłem się w Kowlu i tam 22 września dostałem się do radzieckiej niewoli. 20 września 1941 r., w Starobielsku, wszedłem w skład Armii Polskiej w ZSRR pod dowództwem generała Władysława Andersa. Cały szlak bojowy przeszedłem z tą armią jako sanitariusz 31. kompanii sanitarnej. Przed bitwą o Monte Cassino stacjonowaliśmy w miasteczku Vinafro. Prócz sanitariatów zgromadzona tam była masa amunicji do różnych broni. Przywożono ją sa-

mochodami, a dalej wieziono na mułach. Jedynie muły były zdolne wspinać się pod górę po skałach i wąwozach. Dowódcą naszej kompanii był major lekarz Tenderenda. Pamiętam również poruczników Świetlika i Rychlińskiego. Oczywiście nikt z nas – nawet oficerowie – nie wiedział, kiedy rozpocznie się bitwa. Wiedzieliśmy tylko, że mamy zdobyć klasztor Monte Cassino i wszystkie okoliczne wzgórza. Wiedzieliśmy, że bitwa będzie zacięta i krwawa, i że wszystkie poprzednie natarcia na te wzgórza załamały się. Byliśmy zdecydowani na wszystko – chcieliśmy przecież wywalczyć wolną Polskę i po to szliśmy tu ze Związku Radzieckiego przez Bliski Wschód. Tylko sztab wiedział, kiedy rzuci do boju nasze oddziały. Hitler chętnie się, że jego oddziały są nie do pokonania, że “połamiemy sobie zęby”, jak połamiali Kanadyjczycy, Hindusi i inni, że drogi do Rzymu nie zdobędziemy. W klasztorze i sąsiednich górach siedziały faktycznie najlepsze, uzbrojone po zęby, niemieckie oddziały.

*) Na podstawie opowiadań z 1983 roku opracował Stanisław Ilski.

Zaczęło się w środku nocy. Najpierw wybuchła tak straszna kanonada artylerii i bomb lotniczych, że chyba cały świat trząsł się. Trwało to długo, około godziny, a potem nasi poszli do boju. Patrole kompanii sanitarnej wyszły na pole bitwy. Nasze 3 plutony sanitarne wspinały się w wąwozach. Niemcy strzelali tak gęsto z granatników i broni maszynowej, że stale trzeba było posuwać się chyłkiem, a często i czołgać. Wszystkie oświetlały rakiety tak mocne, że jasno było jak w dzień, ale oświetlone były tylko wypukłości terenu – za kamieniami, krzewami, w zapadlinach był cień i dawał schronienie. Mieliśmy nosze, opatrunki gazowe, bandaże, gumy do tamowania krwi, klepki do unieruchomień i flaszeczkę cucącego płynu. Szliśmy w pierwszej linii razem z nacierającymi. Nakładaliśmy opatrunki, unieruchamialiśmy pogruchotane kończyny, tamowaliśmy krwotoki, układaliśmy rannych w bezpiecznych miejscach i szliśmy dalej. To bardzo ciężka i niewdzięczna służba – być sanitariuszem. Żołnierz idący do natarcia, kiedy jest wielki ostrzał chowa głowę, a nawet kryje się cały. Chwałą go za to, że się nie dał zabić. Nas, sanitariuszy nikt nie doceniał. Śmiali się z nas, że “łapiduchy”, a tymczasem sanitariusz musi rannego opatrzeć pod największym ostrzałem i wynieść go w bezpieczne miejsce. Nieraz potrzebna jest do tego wielka odwaga – idzie się udzielić pomocy nawet po innych trupach, również wtedy, gdy łydki i ręce drżą ze strachu, a w bitwie strasznych rzeczy jest niemało. Ranni wołają, jęczą i “kurwią”, że natychmiast nie podbiegł sanitariusz. Nieraz gorsze od kul jest patrzeć na ludzkie cierpienie. Straszne, kiedy wpycha się flaki do rozwalonego brzucha i mówi żołnierzowi, że się to zaszyje i będzie żył, co przecież jest nieprawdą. A ilu kolegów na naszych rękach wyzionęło ducha! Jestem bardzo stary, to było dawno, ale jeszcze teraz, jak pomyślę o tej bitwie, to przechodzi mnie dreszcz i włosy się jeżą. Rannych z pola bitwy odnosili inni. Lżej ranni byli opatrywani w najbliższym szpitalu polowym, cięższe stany odwożono na tyły, a nawet odsyłano samolotami do Anglii.

Po pierwszym szturmie, który się załamał, poszliśmy na przedpole, aż do Niemców. Pozwolili nam opatrzeć i zabrać naszych rannych, ale sprawdzali czy nie mamy ze sobą min lub innych ładunków wybuchowych – bali się podstępnie. Drugi szturm był jeszcze bardziej zacięty, a żołnierze formalnie padali ze znużenia. Kiedy zdobyto klasztor, nie byłem w nim – to były same ruiny. Przeszukiwaliśmy zaułki i szczeliny skalne, czy nie został tam jeszcze ranny żołnierz nasz lub niemiecki.

Potem zabrali nas w inne miejsce. Przeszedłem dalej cały szlak: Porto San Giorgio, Porto Recanati, Falense, Pesaro aż do samej Bolonii. Byłem we wszystkich bitwach, a Pan Bóg mnie jakoś ocalił, bo kto tam przeżył, to był cud.

Wróciłem do Kraju, do Bieżunia. Jestem prostym człowiekiem, robotnikiem, myślałem więc, że w tym ustroju będzie mi dobrze, ale tak nie było. Pepeerowcy, UB, milicjanci prześladowali mnie przez długie lata. Nie mogłem dostać pracy – mówili drwiąco, żebym poszedł do Andersa, to mi da pracę. Dopiero pan Gołębiowski załatwił mi robotę.

Nie zapomnę, jak jeden z bieżuniaków, milicjant, kiedy chciałem w GS kupić węgla, powiedział: „Ty chcesz węgla? Możesz bobami palić. Idź na paśniki i nazbieraj. Węgiel jest dla przywoitych ludzi!”. To była wielka krzywda wyrządzana przez całe lata żołnierzom, którzy przeszli fronty w 1939 roku, radzieckie łagry i cały bojowy szlak Drugiego Korpusu, którzy walczyli o Polskę pod Monte Cassino. Nie chcę wymieniać nazwisk tych pacholków Stalina – niech osądzi ich sprawiedliwość Boska. Dożyłem 81 lat i dopiero od niedawna mogę odetchnąć wolną pierśią.

Tadeusz Zajdziński

Prawda o Piedimonte^{*)}

Dnia 19 maja 1944 r. tzw. grupa płk. Jana Lachowicza, w której był 18. Lwowski Baon Strzelców pod dowództwem majora Franciszka Osmańkiewicza (płk. Domoń był ranny) schodziła ze wzgórza „Widmo” w kierunku S.V. Lucia. Po drodze spotkaliśmy patrol kilkunastu ludzi z 18. baonu pod dowództwem ppor. Aleksandra Łukaszyka. Pułkownik Lachowicz zapytał Łukaszyka, co widzieli w S.V. Lucia? Łukaszyk odpowiedział, że zostali ostrzelani i wycofali się. „Czy więcej coś stwierdziliście?” — pytał płk. Lachowicz. Podporucznik Łukaszyk nie odpowiedział. Na to pułkow-

*) Skrócony tekst relacji porucznika Tadeusza Zajdzińskiego podaje Melchior Wańkiewicz w swojej książce pt. „Monte Cassino”. I.W. PAX 1979 s. 513-517.